

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 12

WARSZAWA, 18 LISTOPADA 1935 R.



LUBLIN, WIDOK OGÓLNY

Przyrodniczy

LUBELSZCZYZNA

Z północy na południe,
między Wisłą, a Bugiem,
zielenią się ugory
i zagony pól długie.
Szumią łąny pszenicy,
szumią żyto na piaskach —
budzi się dzień rolniczy
w złocistych słońca blaskach.

Hen, od wzgórz południowych
aż do nizin podlaskich
szumią lasy dębowe,
szumią sosny na piasku.
Wrzeszczą ptaki wśród zielska,
szumią chmury po niebie —
śpiewa ziemia lubelska
pieśń o pracy i chlebie.

Hej, widziało tu niebo,
hej, widziała tu ziemia
lata krwawej potrzeby
i niedoli naprzemian.
Tu od krańca do krańca —
każdy kamień pamięta —

wrzała walka powstańcza,
jak ta praca — zawzięta.

I z tej walki, z tej pracy
— zawsze do nich gotowi —
wyrośli lubliniacy
na pociechę krajowi.
Tu i tam nad rzek brzegiem
czerwień murów wyrasta —
siedzą wioski szeregiem,
stoją pośród nich miasta.
Jak wstążki między niemi,
białe szosy w świat wiodą,
szare tory przy ziemi,
czarne mosty nad wodą.

Czy w dobrej, czy w złej porze,
pośród wsi i miast rojnych,
rośnie naród, jak zboże,
dorodny i spokojny.
W swojej ziemi żywiącej
zakochany prawdziwie,
a pogodny — jak słońce,
a jak niebo — uczciwy.

ZIEMIA LUBELSKA

Lubelszczyzna, to ziemia posiadająca krajobraz bardzo urozmaicony. Na północy, wśród ubogich piasków, ciągną się podlaskie zaścianki. Na południowoschodzie żyzne gleby hrubieszowskie spływają ku wodom Bugu. Pagórniki i wąwozy glinowe fałdują grunt od Kraśnika aż po Puławę, z biegiem szeroko tu rozlanej Wisły. Zarówno na garbach wzgórz, jak i na płaskich piaszczyskach, chaty budowane są podobnie. Zrąb domu najczęściej związany



TYPOWE STRZECHY LUBELSKIE



KRAŚNIK. DAWNY KLASZTOR

„na węgły”, choć nowe chaty często są też budowane „w słupy”. Zato strzecha zawsze ma kształt jednakowy. Jest to dach spadający na cztery strony, po rogach podcięty „w schodki”. Wiele chat ma ganki, nieraz pięknie ozdobiane.

Wśród takich chat biegną drogi, wysadzone brzoźami, topolami, a nawet, tu i owdzie, drzewami owocowymi. Wspinają się te drogi na wzgórza, spadają w dolinki, wiją się po jarach i wąwozach. Do miast prowadzą.

A tych miast jest na ziemi lubelskiej



ZAMOŚĆ. RYNEK

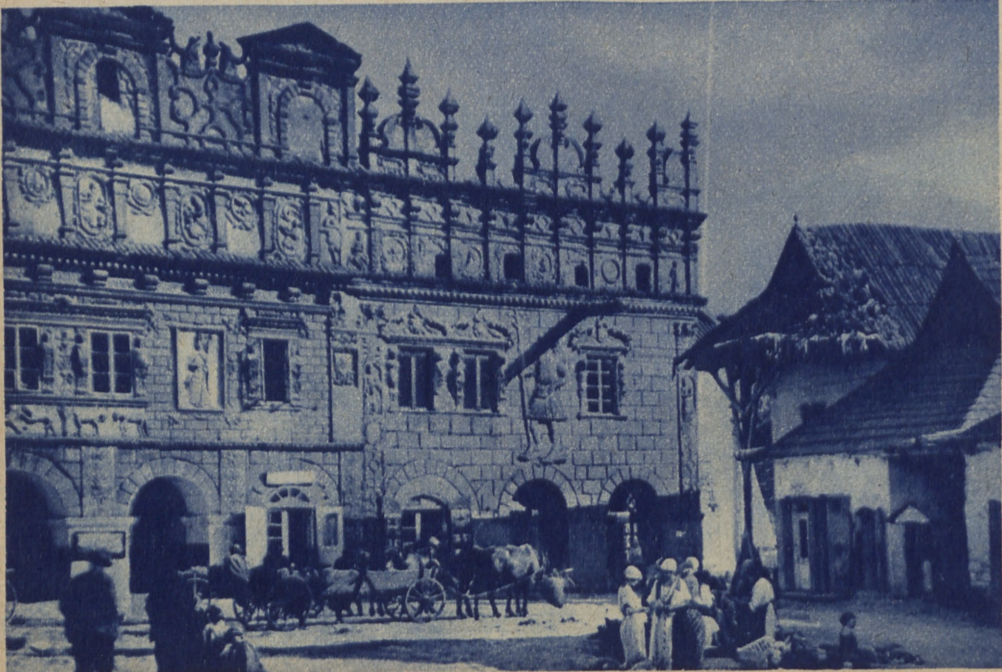


KAZIMIERZ. WIDOK OGÓLNY

sporo. Nad Podlasiem królują Siedlce i Łuków. Sławny w dziejach naszych Stoczek — uboga i licha miłościna, także tu się znajduje. Wpobliżu grodów wznoszą się zamki, z których właściwie

ruiny już tylko się wznoszą, jak np. w Liwie, nad rzeką tejże nazwy.

Ruin takich jest wiele i we właściwej Lubelszczyźnie. O dawnej chwale świadczą zwaliska twierdz w Stołpiu



KAZIMIERZ. DOM W RYNKU

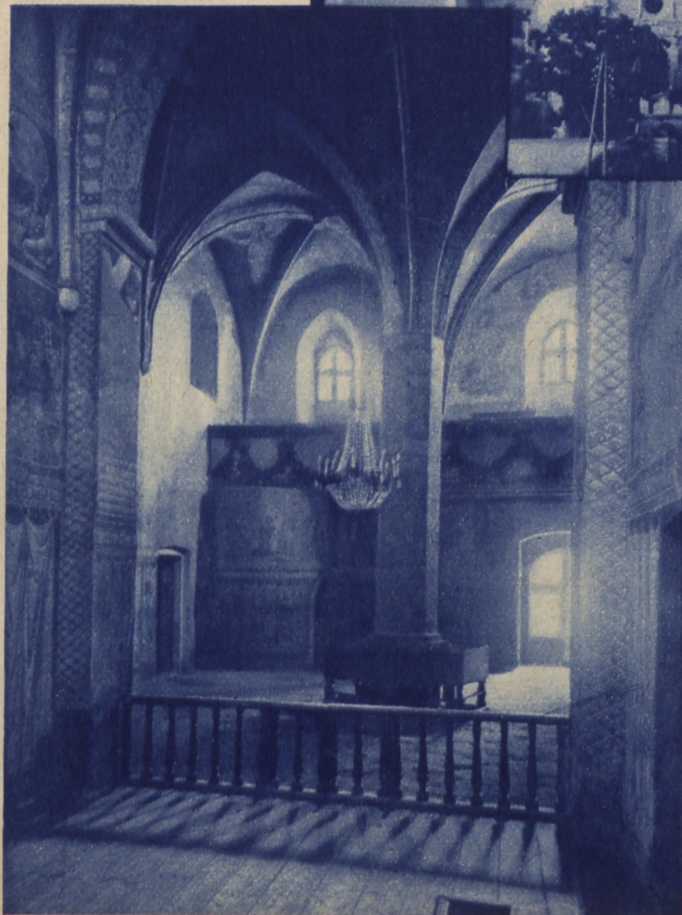
pod Chełmem, w Kazimierzu, w Bochatnicy, w Krzepem koło Zamościa. A i lubelski Zamek, choć zeszpecony przeróbkami, mimo wszystko okazały wygląd zachował. Szczególnie duże wrażenie robi baszta, ponoć przez książąt ruskich, gdy tu rządili czas jakiś, wzniesiona. Ma ona mury kilkumetrowej grubości, a nazywają ją basztą księcia Daniela.

Lublin, główne miasto tej ziemi, istniejące blisko 1000 lat, wiele ma pięknych zabytków



FARA W KAZIMIERZU

przeszłości i rozwija się z roku na rok. Obecnie ma około 130 tysięcy mieszkańców, wszelkie urządzenia użyteczności publicznej (elektrownię, gazownię, kanalizację, wodociągi, telefony, rzeźnię, komunikację autobusową i t. p.). Właściwy rozwój miasta idzie ku przedmieściom. Szerokie ulice, ozdobione zielencami, biegną wzdłuż szeregów nowych domów. Ale tych, którzy zwiedzają miasto Piastów i Jagiellonów, ciągnie raczej ku starej dzielnicy. Odwieczne uli-



KAPLICA W KOŚCIELE ŚW. TRÓJCY



LUBLIN. WIDOK NA ZAMEK

ce: Grodzka, Jezuicka, Złota, Olej- malarzy. Miasteczko ma duży rynek, na, Rybna, Szambelanka, przypominają który zdobią dwie śliczne kamienice Kraków i Wilno zara- zym. Płutowisko zaul- ków, w których ulica przebiega nad ulicą, w których wieże i ko- ścióły Lublina widać co- raz to z innej strony i coraz to bardziej ma- lowniczo — podoba się wszystkim przybyszom, swoim i cudzoziemcom.

Najcenniejszą perłą wśród zabytków miasta jest kościół św. Trójcy na zamku, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, a za czasów Jagielly pokryty freskami, czyli malowidłami na ścianie. Całe sklepienie kościoła wspiera się na jednym filarze, a freski są tak piękne, że artyści z obcych krajów umyślnie przyjeżdżają do Lublina, aby je podziwiać.

Z innych miast tej ziemi szczególnie piękny jest Kazimierz nad Wisłą, ulubione letnisko



LUBLIN. WIDOK NA BASZTĘ



LUBLIN. UL. KRÓLEWSKA

z XVI-go wieku. Front tych domów całkowicie pokryty jest płaskorzeźbami. Podobna kamienica jest i przy ulicy Senatorskiej. Klasztor, kościoły, baszta z czasów Kazimierza Wielkiego i rów-

nie stary zamek, wreszcie spichrze murowane wzdłuż Wisły, dopełniają obrazu miasteczka.

Pobliskie Puławy, ongiś siedziba możnych książąt Czartoryskich, słyną



LUBLIN. KOŚCIÓŁ WIZYTEK



KAZIMIERZ. RUINY ZAMKU

z tego, że tu jest Instytut Rolny, najwyższa szkoła rolnicza, oraz park, jeden z najpiękniejszych w Polsce.

Z większych miast Chełm ma bardzo piękne położenie wśród wzgórz, a Zamłość — piękne zabytki przeszłości: ry-

nek ze starym ratuszem, renesansowe domy z podcieniami, ozdobione płasko-rzeźbami i kilka kościołów.

Piękny to kraj — Lubelszczyzna.

H. Z.

KONIEC RZECZYSPOLITEJ BABIŃSKIEJ

Młody parobczak z przebiegłą miną i sprytnymi, latającymi oczyma krzątał się pomiędzy gośćmi, dolewając węgryzna.

Z czupryn dobrze się już kurzyło. Co chwila wznoszono nowe zdrowia. Nieco ociężale podniósł się z obitego skórą krzesła dziedzic na Babinie i Giełczwi, pan Adam Pszonka.

— Mości panowie, — odezwał się powoli, jakby z namysłem. — Zwyczajem, przyjętym w naszej Rzeczypospolitej Babińskiej, gózie króluje zawsze wesołość, przedni koncept kończy nasze biesiady. Nie mam dla waćpanów nic na wety, proszę więc pokornie wyręczyć niegościnnego gospodarza. Dziś głos zabrać w tej materji mają: pan Aleksander Regulski, zacny nasz sąsiad, pan poseł Jan Wydźga, pan Konstanty z Michałowa Michałowski, starosta rzepicki, pan Józef Nyrski, sławny rycerz zbarraski i pan Piotr Kaszowski, nasz kanclerz babiński.

— Poczekaj-no Wasze, gospodarzu

„niegościnnie” — zawołał z końca stołu imię Regulski, wkładając sobie do ust potężny kawał pieczonego jarząbka i popijając węgryznem. — Niech trochę odsapnę. Muszę Waszmościom podać w domu „niegościnnego” gospodarza receptkę na przeładowany żołądek. Wziąć trzeba nieco sadła z pająka, szpiku z komara, zmieszać z młynskim szumem, kowalskim stukiem, z dźwiękiem dzwonu, dolać do tego krwi z raka. Zmieszać to wszystko dobrze, osuszyć w ciepłe, utłuc w szklanicę weneckiej wilczym ogonem, potem w garnku zagotować. Wypić to duszkiem.

Chóralny śmiech zagłuszył końcowe wywody pana Regulskiego.

Równie serdecznie śmiano się po anegdocie pana Konstantego z Michałowa Michałowskiego, starosty rzepickiego. Oto szczwał raz pan starosta zająca, który miał osiem nóg. Kiedy cztery się zmęczyły, to na drugich czterech biegł dalej.

Ale największego miru zaznał pan Piotr Kaszowski, „kanclerz” babiński.

Wierzchem dłoni podczesał, zwyczajem swoim, wiechy wąsów dogóry, chrząknął i zaczął opowiadać.

— Raz na polowaniu w puszczy nalibockiej zobaczyłem niedużego warchlaka, którego ogon trzymał w pysku wielki odyniec, zupełnie, jak zauważyłem, ślepy. Widać jakiś myśliwy, strzelając do dzika, osłepił go.

Zmierzyłem do niecnoty i trafiłem tak dziwacznie, że odstrzeliłem ogon warchlakowi. Wieprzak uciekł, a dzikakaleka, trzymając nadal ogon w pysku, szedł dalej, myśląc, że idzie za swym przewodnikiem. Wpadłem na pomysł. Ująłem za ogon pozostawiony przez zbiegłego warchlaka i przyprowadziłem odynca na ganek swojego dworu...

Ochota rosła. Przednie humory podtrzymywała zasobna piwniczka gospodarza, góry pieczonego ptactwa i zajęcy, wnoszone co pewien czas przez służbę i znikające w ochoczych a przepaścistych żołądkach biesiadników.

Wtem za oknem ozwał się tętent koni. W sieni dały się słyszeć stłumione głosy. Do izby wkroczył z chrzęstem rycerz w zbroi, z mieczem u boku. Towarzyszyli mu dwaj inni. Rycerz był wielki, kościsty. Ślady po ospie dziwnie szpeciły twarz, która tchnęła jednak jakąś szlachetnością. Oko rycerza (zamiast drugiego — widniało bielmo) pałało ogniem.

Całe towarzystwo w jednej chwili wytrzeźwiało. Wszyscy wstali, poznając w przybyszu sławnego zagończyka, Stefana Czarnieckiego.

— Nie w porę, widzę, przyszedłem, — przerwał zaległą ciszę rycerz. — Proszę Waszmość Pana Pszonkę o przebaczenie, że nieproszony przybywam. W imieniu nieszczęsnej Ojczyzny, wzywającej na ratunek, do Waćpanów apeluję. Nie do Waszmości Pana Pszonki się zwracam, bo wiem, że w październiku podpisał wraz z innymi akt hołdowniczy królowi szwedzkiemu Karolowi Gustawowi...

Pan Pszonka zbladł. Chciał coś replikować, lecz przygwoździło go do miejsca spojrzenie jednookiego rycerza.

— Ale widzę tu, — ciągnął Czarniecki, — pana Chrzastowskiego, który przeciw Tatarom zacień stawał w potrzebie i pana Andrzeja Sokołowskiego, który Moskwicina niegdyś bił tęgo i tyłu innych towarzyszy niegdy moich tu widzę... Gości panowie, Jasna Góra odparła wroga. Kraj się budzi. Król nasz najmiłościwszy w Głogowie czeka wieści. Wzywam wszystkich do związku konfederackiego! Do bronii!!!

Rumor za stołem uczynił się rozgłośny. Dało znak pachołkom, którzy już kulbaczyli konie. Wkrótce tętent kopyt końskich zadudnił na gościńcu krakowskim...

Pan Pszonka pozostał sam. W niedopitych kielichach skrzyło się wino, resztki jedzenia na półmiskach i poplamiony obrus świadczyły o niedawnej uczcie. Pan Pszonka szeroko otwartymi oczyma patrzył w stronę drzwi, nie wiedząc dobrze, zali to sen był czy jawa. Co za siłę miał posępny rycerz, który porwał z za stołu najweselszych kompanów, tak zawsze skorych do zabawy! Pan Pszonka myślał...

Wtem nagłym ruchem chwycił za róg obrusa i zdarł go ze stołu. Z brzękiem potoczyły się na podłogę srebrne i kryształowe kubki, puchary, łyżki srebrne i cynowe, półmiski, misy i salaterki.

Z przestrachem wbiegła do komnaty służba.

— Konia kulbaczyć, psiewiary! — huknął pan.

Tego jeszcze wieczora pan z Babi-na na klęczkach błagał Stefana Czarnieckiego o przyjęcie do związku konfederackiego. Rzeczpospolita Babińska, gdzie miast pracy dla Ojczyzny kwitła uciecha, obżarstwo i pijaństwo, istnieć przestała. Celem wszystkich stała się wspólna Rzeczpospolita Polska.

Kazimierz Brzuski

CZARTORYSCY W PUŁAWACH

Puławy w sercu Polski — bo w granicach ziemi małopolskiej i lubelskiej położone — liczą obecnie około 8.600 mieszkańców. Miasto o szerokich, jasnych ulicach, pełne ogrodów i sadów, leży nad Wisłą, posiada dziś władze powiatowe, szkoły średnie i sławny na całą Polskę Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego. Siedzibą jego jest przepiękny dawny pałac książąt Czartoryskich. Świetne są dzieje tego gmachu, który w czasach swego rozkwitu dorównywał królewskim dworom, a gościł panujących i książąt ducha. Bywali tam najwybitniejsi mężowie stanu, najznakomitsi uczeni polscy i zagraniczni, poeci i artyści.

Pod dachem księcia Adama Czartoryskiego, wuja ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, zbierał się kwiat zacnych obywateli Rzeczypospolitej i radzono o naprawie Państwa, chylącego się do upadku, o ulżeniu doli włościan, o poprawie cnót w narodzie. A księciu sekundowa-



PUŁAWY. DOMEK GOTYCKI



IZABELLA CZARTORYSKA

ła wiernie małżonka jego, księżna Izabela z Flemingów, która wniosła mu Puławy w posagu. Była to jedna z najznamienitszych, najbardziej wykształconych kobiet swojej epoki. Wyrazem jej wytwornego smaku jest pałac puławski, a zapisała się w pamięci potomnych szczególną dbałością o losy włościan. Nietylko wydała cenne dzieło o urządzaniu ogrodów, ale w dobrach puławskich zachęciła lud wiejski do stawiania porządných chat i zakładania sadów. A choć tyle zniszczenia przeszło przez ziemie polskie w następnych 150 latach, dzieło księżnej Izabeli Czartoryskiej oparło się poździe wojennej, sady puławskie ocalały i do dziś dnia dają pokaźny dochód tamtejszej ludności.

Dbała też wielce księżna Izabela o uświadomienie narodowe ludności włościańskiej, w tym celu napisała pierwszą popularną historję Polski na użytek dzieci i ludu p. t. „Pielgrzym z Dobromila”.

Nieszczęścia, które spadły na Polskę z końcem XVIII wieku, nie oszczędziły i Puław. Po upadku powstania Kościuszki zwycięskie wojska moskiewskie spustoszyły i zrabowały pałac puławski. Jednak księżna Czartoryska, przejęta gorącym ukochaniem siedziby swoich przodków, zabrała się natychmiast do jej odbudowy.

Odbudowane Puławy przybrały zgołą odmienną postać. Nie były już tylko wspaniałą rezydencją polskiego magnata, ale stały się zbiorem pamiątek narodowych. Księżna Czartoryska zrozumiała wymowę tradycji i postanowiła na gruncie Puław zgromadzić wszystko, co mogłoby dać obraz chlubnej polskiej przeszłości. Całe społeczeństwo pośpieszyło jej z pomocą, z całej Polski popłynęły dary. Szcasiem, gdy zebrano tyle pamiątek, że trzeba było pomyśleć o odpowiednim pomieszczeniu, przystąpiła księżna do wystawienia wspaniałego gmachu muzealnego. Stał on w parku puławskim, na wysokim wzgórzu, pokrytym starymi drzewami i zawieszonym stromo nad Wisłą. Wzoru dostarczyła świątynia Sybilli w Tiwoli pod Rzymem, i od niej też wziął nowy budynek swą nazwę.

Poświęcenie świątyni i otwarcie zbiorów w roku 1800 było doniosłą uroczystością narodową. Polska wymazana z karty Europy, zmanifestowała swą żywotność i naród krzepić tu mógł ducha narodowego urokiem wspomnień narodowych i czcią dla przeszłości. Pamiątki, zebrane w świątyni Sybilli, pochodziły z rozmaitych epok i dawały świadectwo chwale polskiej. Była tam broń królów polskich, chorągwie i armaty zdobyczne i wazon toczony ręką Kościuszki w więzieniu petersburskiem i wiele drogich sercu Polaka relikwii narodowych.

A gdy skarbów poczęło przybywać, wybudowała księżna na ich pomieszczenie drugi budynek muzealny, zwany „domem gotyckim”. Otwarcie jego przypadło na wielką uroczystość narodową, kiedy to w roku 1809 stanęły w Puławach zwycięskie legjony polskie. A choć „dom gotycki” przeznaczony



PULAWEY. KOŚCIÓŁ

był na pomieszczenie pamiątek zagranicznych, zebranych przez księżnę podczas podróży zagranicę, to jednak nosił on niepoślednie znamiona polskości, bowiem ściany jego zewnętrzne przyzdobiły napisy z pomników historycznych, pamiątkowe ciosy z polskich budowli, cegły z herbami, zdobyte kule armatnie wrogów, tak, że mury tego gmachu opowiadały wiedzającym o odwadze i sławie Polaków.

Zaledwie trzydzieści lat trwała świetność Puław. Po upadku powstania listopadowego wkroczył znowu do księżęcej siedziby butny żołdak moskiewski. Puławy zostały za udział Czartoryskich w powstaniu narodowym zabrane na rzecz rządu rosyjskiego. Pałac, Świątynia Sybilli i Dom gotycki, opuszczone przez swych prawowitych właścicieli, uległy zniszczeniu. Ocalały jednak zbiory narodowych pamiątek i zabytki narodowej przeszłości, naczas wywiezione zagranicę, a następnie umieszczone w Muzeum Czartoryskich w Krakowie, gdzie do dnia dzisiejszego stanowią przedmiot badania uczonych i cieszą oczy i serca obywateli niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej.

W pałacu puławskim mieściła się przez czas dłuższy szkoła rosyjska, zaborca starał się zniszczyć jego stylowe piękno. Rząd Polski Odrodzonej usunął zniekształcające moskiewskie nality, przywrócił pałac do jego dawnej formy, a Państwowy Instytut Gospodarstwa Wiejskiego kontynuuje chlubnie tradycje założycieli Puław, zasłużonych dla Polski książąt Czartoryskich.

Z. Krzemicka



Matusiu, Lublin tak srebrny
 twe baśnie mi przypomina
 o lotach koni podniebnych,
 o czarach lamp Aladyna...

Kościół w bieli i wieże
 w kołpakach, skrzących się w słońcu,
 są jak archanioł, co strzeże
 wrót rajskich na świata końcu...

Zamek, jak statek, co w burzy
 utracił ster, żagle i maszty,
 martwo na białej górze
 spoczywa w cieniu swej baszty...

W uliczkach błękitne smugi,
 w zaułkach — srebrnie i biało.
 Na bram i okien framugi
 śnieżnych „baranków” nawiało...

Tak za dnia. A kiedy nocą
 bania uroków tu pęknie
 i gwiazdy niebo wyłocą
 — o, matuś — jak będzie pięknie!

J. H. C.



KOŚCIÓŁ BERNARDYNÓW
 Autolitografja W. Chomicza

P A W Ł Ó W

W roku 1739, w arystokratycznej rodzinie Brzostowskich przyszedł na świat syn, któremu dano imiona Paweł Ksawery. A były to czasy, gdy Polskę zwano „śpichrzem Europy”, gdy była

jednym wielkim folwarkiem, produkującym zboże na wywóz zagranicę. Któż, jak nie chłop, był siłą produkującą zboże? Przez trzy albo cztery dni w tygodniu pracował „na pańskim”. Pań-

szczyzna i różne usługi, świadczone dworowi, zabierały mu czas, potrzebny na uprawę własnego zagonia i doгляд własnej gospodarki. Wpadał w nędzę. A nie wolno mu było szukać lepszej doli, przenieść się do innej wsi, czy do miasta. Za tajemną ucieczkę groziła mu kara. A karał go za przewinienia nie sprawiedliwy sędzia, lecz dziedzic. Całkowicie poddany panu, był chłop jakby niewolnikiem. Nie istniał jeszcze wielki przemysł, nie było prawie fabryk i robotników, stan mieszczkański bardzo był nieliczny, największą część narodu stanowili włościanie. Polska nie mogła być silnym państwem, bo jej najliczniejsi obywatele żyli w nędzy, w ucisku i ciemności. Kiedy przyszły rozbiory, okazało się, że chłop nie chce bronić państwa, które się nim nie opiekowało, że poza kawałkiem ziemi, na której żyje, kraj jest mu obcy.

Na pociechę można powiedzieć, że niewiele lepiej działo się chłopom w całej Europie. Zaczęto o tem pisać i mówić. Zaczęto wołać o poprawę.

Tymczasem mały Pawełek Brzostowski dorósł i został księdzem. Miał serce prawdziwie chrześcijańskie, pełne miłości bliźniego. W podróży zagranicę przejął się reformatorskimi prądami państw zachodnich. Jako natura czynna, postanowił wprowadzić je w życie.

Po powrocie do kraju kupił majątek Merecz, składający się z 9 wsi i 11-tu zaścianków szlacheckich, nazwał

go od swego imienia Pawłowem i urzędowym aktem, w 1791 roku zatwierdzonym przez sejm, stworzył z niego małą republikę. Nadał włościanom wolność. Każdy z 498 chłopów pańskich mógł żyć w swojej wsi i mógł iść w świat szukać szczęścia.

Zrzekł się władzy prawodawczej i administracyjnej. Chłopi sami sprawowali sądy, stanowili prawa i wykonywali je. Wybrani gospodarze zbierali się w gminie i radzili o swoich potrzebach, jak teraz posłowie radzą w sejmie o potrzebach kraju.

Pawłów kwitł i rozwijał się przez 23 lata. Szczęśliwie pracowali wolni włościanie. Budowali drogi, zakładali szkoły, w których wychowywały się dzieci na światłych obywateli. Mieli własne wojsko do utrzymania porządku i własny skarb, z którego czerpali i do którego wpłacili pieniądze. Nikt nie mógł ich karać chłostą czy więzieniem za nieposłuszeństwo! Służyli sobie, nie panu, a ich oświata i dobrobyt stawały się własnością i siłą państwa.

W 1794 roku, po klęsce maciejowickiej, zamieszany w powstanie kościuszkowskie ksiądz Brzostowski musiał wyjechać z kraju. Pawłów sprzedał, ratując go przed konfiskatą rządu rosyjskiego, a nabywcy doszczętnie zniszczyli piękne jego dzieło. Jednak szlachetna postać księdza Brzostowskiego i pamięć jego czynu pozostanie na zawsze w historii przemian społecznych.

A. Maryńska

POD POWSTAŃCZYM KRZYŻEM

Wicek szedł wolno, ostrożnie, oglądając się wokół siebie w ciemnościach nocy. Gwiazdy iskrzyły się na niebie, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł i panował nieprzenikniony mrok. Chłopak posuwał się naprzód, wyczuwając pod nogami znane dobrze ścieżki. Wysoka trawa biła po nogach. Ciemności gęstniały — to był już las.

Wtem od gościńca, biegnącego o kilkaset metrów dalej, doleciał tętent. Wicek skulił się i przysiadł pod jakimś

krzaczkiem. Tętent zbliżał się. Już można było rozróżnić głosy. Jeźdźni rozmawiali po niemiecku. Po chwili zjechali na łąkę. Wicek przyłgnął do ziemi. Serce biło mu mocno.

Żołnierze niemieccy, rozmawiając głośno przejechali na ścieżki, wiedące ku wsi. Szybko zniknęły w ciemnościach ich czarne sylwetki. Chłopak odetchnął. Przeczekał jeszcze chwilę i znów ruszył dalej. Ostrożnie wszedł w las. Tu już nie było widać absolutnie



LUBLIN. BRAMA TRYNITARSKA

nie. Gdzieś, zdaleka, dochodził niewyraźny szum — to szemrała płynąca wdali Okrzejka.

— Spóźnię się — pomyślał Wicek, klucząc w gęstym podszyciu lasu i przyspieszył kroku. Nie wolno, nie można się było spóźnić. Przypominał sobie usilnie bliższe przejścia i dróżki.

— Koło buku zakręcić, naprzetać, a potem już polanka i krzyż — rozmyślał. Zbiórka była naznaczona przy krzyżu, wzniesionym na polance leśnej kiedyś, przed laty, w okresie powstania sześćdziesiątego trzeciego roku. Kryła się pod nim bezimienna mogiła poległych w walce z oddziałem kozackim. Krzyż przetrwał po dziś dzień.

Drzewa, pomiędzy którymi siedł

omackiem, zaczęły rzednąć. Zrobiło się troszeczkę jaśniej. Wicek szedł szybciej. Już widział majaczący kształt krzyża.

— Hasło?

Chłopak aż podskoczył, tak niespodzianie wynurzyła się z ciemności postać wartownika.

— Wolność!

— Przechodź!

Pod krzyżem widniała już ciemna gromadka. Wicek przybył jeden z ostatnich.

— Już wszyscy są, obywatelu komendancie! — zameldował jeden z młodych chłopców. Było ich tu na polance z piętnastu. Wszyscy przekradli się z okolicznych wsi, niektórzy przybyli zdaleka, z komend powiatowych Polskiej Organizacji Wojskowej, dla ostatecznego



LUBLIN, UL. SZAMBELANKA



KAZIMIERZ, STARE DOMY

porozumienia się i opracowania planu rozbijania Niemców.

Niesamowicie szumił las. Wysoko, nad wierzchołkami drzew połyskiwały gwiazdy na ciemnym niebie.

Komendant wystąpił na środek. Ledwo można było dostrzec w mroku jego twarz. Był to taki sam młody chłopak, jak inni. Ale wszyscy z wyteżoną uwagą wsłuchiwali się w to, co mówił.

— Obywatele! Zbliża się ostateczna godzina! Jesteśmy dziś u progu wolności — od nas tylko zależy, by nie stracić odpowiedniego momentu, by uderzyć — i zwyciężyć! Nie może się za nas powstydzić nasza ziemia lubelska!

Wicek słuchał. Zmieszane obrazy przepływały mu przed oczyma. Tak, to jest przecież ziemia lubelska, ta ziemia, która od najdaw-

niejszych czasów walczyła, buntowała się, rwała kajdany niewoli, sphywała krwią i zawsze ofiarnie stawała w szeregu, zawsze wierzyła w wyzwolenie. Przecież to tu, niedaleko, wrzała walka pod Dubienką — przecież opodal rozciąga się maciejowickie pole, gdzie tyle krwi polskiej wsiąknęło w zie-



KAZIMIERZ



LUBLIN. DZIELNICA ŻYDOWSKA

mię... Przecież to tędy, przez te lasy i łąki przekradali się za austriacką granicę niezłomni unicy, nie dający sobie wydrzeć wiary, która ich łączyła z Ojczyzną... Przecież to tu znęcali się Moskale nad kobietami i dziećmi, ale nie zdołali niczego osiągnąć. Prawy, nieugięty, niezłomny w swojej wierze i miłości był lubelski lud. Po każdej klęsce zrywał się do nowej walki. Piełęgnował w krytych słomą chatach polską mowę, podawał sobie z rąk do rąk zakazaną polską książkę, zbierał się na nadbużańskich łąkach na polską modlitwę. Zaludniał więzienia rosyjskie, padał pod razami nahaжек, wędrował na

daleki, lodowaty Sybir. Nic go nie mogło zmóc, nic go nie mogło pokonać.

I teraz, kiedy zahuczała nad światem wielka wojna, lubelszczyzna stanęła do apelu. Niektórym udało się przekraść do Legjonów — niebezpieczna to była przeprawa. A ci, co pozostali, nie zakładali rąk bezczynnie. Garnęła się młodzież do szeregów Polskiej Organizacji Wojskowej. Na tyłach rosyjskich wojsk wysadzano mosty, przecinano dowóz broni i amunicji, starano się ze wszystkich sił dopomóc tym, którzy tam, po drugiej stronie frontu walczyli o wolność. A kiedy okupant niemiecki i austriacki zajął te ziemie, Polska Organizacja Wojskowa jeszcze wzmo-



LUBLIN. DOM SOBIESKICH



LUBLIN. ZAULEK

Drzeworyt K. Pieniążka

gła swą akcję. Przygotowywano się do ostatecznego ciosu — który powali ciemiężcę i da krajowi wyzwolenie. Krążyły wieści, przynoszone tajemną drogą, oczekiwano z dnia na dzień hasła. Starzy i młodzi garnęli się do organizacji, pracowały w niej kobiety, pomagały nawet dzieci. Wiejscy chłopcy ćwiczyli się we władaniu bronią, wiejskie kobiety przenosiły pod chustkami ważne papiery i broń.

Powoli, ostrożnie rozchodzili się do domów. Wicek przedzierał się spowrotem ku wsi, przez las, potem szedł mokremi od rosy łąkami.

Przypomniało mu się znów wszystko — Maciejowice, powstanie styczniowe, unicy...

— Ale tym razem zwyciężymy! — powiedział sobie twardo, patrząc na wynurzające się z cienia dachy wsi.

I zwyciężyli

Wicek ocknął się z zadumy. On też przecież był synem tej ziemi lubelskiej, ziemi bobaterskiej i zawsze wiernej, która nigdy nie wyrzekła się, nie zaparła Ojczyzny.

— Obywatele! — mówił dalej komendant. — W najbliższych trzech dniach trzeba dostarczyć broń do wszystkich oddziałów. Transport przybywa, jutro w nocy przy powstańcym krzyżu, u drogi przez las, będą dwa wozy. Kto się zajmie przeniesieniem broni do wsi?

Mała gromadka poruszyła się i wszyscy postąpili równocześnie naprzód.

— Ja! Ja! Ja! — padały głosy.

Komendant uśmiechnął się.

— A więc zgoda. Każdy do swojej wsi. Jutro wieczorem zbiórka. Obywatele, wybija wielka godzina!



CO NAM DAJE ZIEMIA LUBELSKA

Piękne są okolice Lublina. Wśród wzgórz przewijają się głębokie wąwozy, żłobione w glince lössowej. Glince tej zawdzięcza Lubelszczyzna żyzność swoich pól. Bujnie rośnie pszenica na polach Lubelszczyzny. Kwitnie tam też uprawa: lnu, konopi, chmielu i buraków cukrowych. Pod względem produkcji przemysłowej nie wybija się Lubelszczyzna na pierwsze miejsce. Rozwinął się tu nieposiadający znaczenia w innych dzielnicach Polski przemysł szczeciński, powstały liczne fabryki konserw jarzynowych, huty szklane, fabryki maszyn rolnych i mebli giętych. Przyjrzyjmy się obrazkom, pokażą nam one, jak wygląda na Lubelszczyźnie produkcja rolnicza i przemysłowa.

NA LUBELSZCZYŹNIE

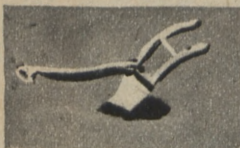
W INNYCH DZIELNICACH POLSKI

PRZEMYSŁ

MASZYNY ROLNE

17,2%

WARTOŚĆ
1148 tys. zł.



81,8%

WARTOŚĆ
5528 tys. zł.

SZKŁO

11,1%

WARTOŚĆ
4234 tys. zł.



88,9%

WARTOŚĆ
34302 tys. zł.

SZCZECINIARSTWO

87,5%

WARTOŚĆ
2707 tys. zł.



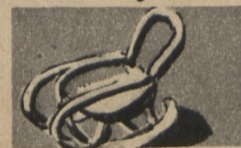
12,5%

WARTOŚĆ
386 tys. zł.

MEBLE GIĘTE

15% pr.

150 tys. szt.



85% opr.

850 tys. szt.

CUKIER

7,7%

305.380 q



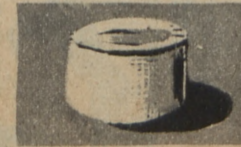
92,3%

3.708.414 q

KONSERWY JARZYNOWE

35,9%

16.348 q



64,1%

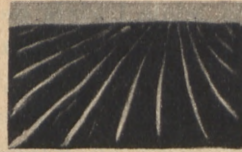
29.194 q

NA LUBELSZCZYZNIE

ROLNICTWO

ZIEMIA UPRAWNA

8,6%



91,4%

2.212.367ha

23.366.876ha

PSZENICA

13,1%



86,9%

2.722.386q

18.081.543q

OWIES

11,8%



88,2%

3.015.794q

22.491.500q

LEN

11,2%



88,8%

34.661q

273.527q

KONOPIE

11,5%



88,5%

11.990q

32.041q

CHMIEL

16,6%



83,4%

2.384q

12.004q

BURAKI CUKROWE

7,9%



92,1%

2.024.337q

23.640.875q

W INNYCH DZIELNICACH POLSKI

MOJA ZIEMIA

Zimą srebrzyste wiatry od wschodniej granicy
wieją, wieją i wieją po naszej ziemi,
a ona w grudniu nawet zieleni się jeszcze
modrzewiami gibkimi, niby leśne dziewczę.
A ona ciężką falą czarnoziemiu spływa
po pagórach ku Wiśle, rodna i szczęśliwa.
A ona śpiewa wodą pod lodem w strumieniach,
że zwolna gubi pamięć o krwawych wspomnieniach.
Leży szeroko, śniegów puchami okryta
i z mroźnego nieb stropu przyszłe losy czyta,
a — jakby powój polny przerósł lany żytnie —
odwiecznymi gradami pączkuje i kwitnie.
Lublin, Zamość, Puławy z Czartoryskich glorią,
Kazimierz, Chełm, Krasnystaw — chlubią się historją.
Srebrne miasta i wioski, ośnieżone bory,
rankiem słońce na śniegach, czy białe wieczory,
śnieżyce i księżycy — wszystko ciebie stroi,
ziemio moja rodzinna, kraju matki mojej...

Henryk Zaslawski



Mili radjosłuchacze! We wtorek, 19 listopada, o godz. 12 min. 15 jarzynki zapraszają Was na wesołą zabawę do piwnicy, ponieważ tam odbędzie się wesele różowej marchewki z zielonym groszkiem. Ryba z rakiem, kapusta z kartoflem, kalafior z brukselką, cebulka z pomidorem i chrzan z ćwikłą szykują się na tę weselną zabawę. Pewnie Wy także skorzystacie z zaproszenia i posłuchacie audycji, która ma tytuł: „Tańcowała ryba z rakiem”.

We środę, 20 listopada, od godz. 16 do godz. 16 min. 20 rozgłośnia poznańska nada pogawędkę dla starszych dzieci p. t.: „Jurek dowiaduje się ciekawych rzeczy o Niemczech”. Wybierzcie się z Jurkiem na daleką wycieczkę do Niemiec, a usłyszycie trochę szczegółów o najważniejszych niemieckich miastach i ich wyglądzie.

We czwartek, 21 listopada, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 Stary Pan Doktor, który cieszy się wielką sympatią dzieci, wygłosi zajmującą pogadankę p. t.: „Nos”.

W piątek, 22 listopada, od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 40 audycja dla starszych dzieci p. t.: „Wycieczka w Lubelskie”. Kto pragnie dowiedzieć się ciekawych rzeczy nie tylko o Lublinie, lecz o całym Lubelskiem, niech zasiądzie przy głośniku, a nie pożałuje tego czasu. Słuchowisko będzie urozmaicone piosenkami i muzyką.

A od godz. 16 min. 45 do godz. 17.00 radio zapowiada bardzo wesołe opowiadanie p. t.: „Historja o Marceljanku i jego węzełku”, które napisał p. Stefan Themerson, znany dobrze czytelnikom „Płomyka”.

Na sobotę, 23 listopada, od godziny

18.00 do godz. 18 min. 30 „Teatr Wyobraźni” przygotował wesołą audycję p. t.: „Yo-ho-ho-ho”. To słuchowisko było nadawane w Anglii i bardzo podobano się angielskim dzieciom. Może i nasze dzieci będą wesoło bawić się na tem słuchowisku.

W niedzielę, 24 listopada, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 radjowy Wu-

jaszek podyktuje nowe „Łamigłówek”.

A nazajutrz, 25 listopada, od godz. 18 min. 30 do godz. 18 min. 40 Mamusia radjowa udzieli odpowiedzi na miłe listy dzieci.

Zdaje się, że z programu bieżącego tygodnia radjowego będziecie zupełnie zadowoleni.

W.



Breloczek przysunął się do Mietka i nic nie mówił, ale serce biło mu jak młotem.

— Murzyn — napewno nie — szepnął Mietek. — Prędzej jakiś z tej rasy... jak tam ona się nazywa?... no...

— Wszystko jedno, ale dziki! — szczękał Wacek. — I pewno ludożerca.

— Teraz jest bardzo mało ludożerców — odpowiedział cicho Julek.

— Nie bój się! Na nas wystarczy!...

— Co robić?

— Trzebaby się uzbroić...

— Ba! nie mamy broni...

— No, mamy noże składane... Dobrze i to...

Chłopcy odpięli noże od pasków i otworzywszy, ścisnęli je w obronnym ruchu.

— Jeśli mnie mają zjeść — to z nożem! — mrucał Julek. — Inaczej się nie zgadzam... I w szarym sosie z rodzynkami...

— Ognie! — szepnął naraz zdu-

szonym głosem Wacek i schwycił za ręce Mietka i Julka.

— Prawda: ogień!...

Kilkanaście światełek zbliżało się od strony lądu, zataczając wielkie półkola. Ogniki chwiały się nierównym płomieniem na niewielkiej wysokości od ziemi.

— Naganka — szepnął Wacek.

Teraz pochodnie zaczęły chwiać się i poruszać, jakby dając sobie wzajemnie znaki. Słychać też było trzask łamanych gałęzi, a potem bicie kijami w pnie drzew.

— Straszą nas, co? — starał się śmiać Julek.

Mietek zerwał się:

— Trzeba coś zrobić! — zawołał. — Kto ma zapalaki?

— Ja! ja!

Wacek i Breloczek gorączkowo szperali po kieszeniach. Potem słychać było pocieranie zapalek o pudełko, ale ognia nie było.

— Zamokły! — krzyknął zdławionym głosem Wacek. — A bodajże cię!

Półkole ogni zbliżało się coraz bardziej.

— Breloczek, latarkę elektryczną! — zawołał naraz Mietek. A kiedy Breloczek wcisnął mu latarkę omackiem do ręki, Mietek rozkazywał dalej:

— Wziąć gwizdawkę do ust! Jak ja gwizdnę — gwizdać wszyscy!

Na wzgórkach zaległa cisza najzupełniejsza, a ognisty krąg zacieśniał się coraz bardziej.

— No, już, już! — jęczał Wacek, ale Mietek się nie odzywał.

— Mietek, czy ty jesteś? — szeptał dalej Wacek. — Czego nie zaczynasz?

— Ciii!... — syknął Mietek.

Krąg był zaledwie o kilkanaście kroków.

Naraz przeraźliwy, ostry, terkozący gwizd przeszył ciszą nocną i oślepiająca smuga światła przecięła ciemność, uderzając w twarze ludzi idących półkolem.

— Oooh! — popłynęło nad tłumem i głowy poczęły chwiać się niepewnie. Zarazem tu i owdzie gasły pochodnie, tylko trójkąt światła idący z góry żarzył się jasno i obchodził z wolna półkole, zagładając wszystkim w oczy.

Naraz rozległy się jękliwe głosy:

— Batara - guru! Batara - guru!

Tłum począł się chylić coraz niżej, aż wreszcie wszyscy upadli na twarz.

Spoceni wygwizdowncy przestali gwizdać, Mietek zgasił latarkę — nastąpiła niepokojąca cisza.

— Co oni mówili? — leciuchnym szeptem spytał Julek.

Mietek wzruszył ramionami:

— Jakies „Batara - guru” zdaje się... Ale co to znaczy — nie wiem.

— A gdyby tak zawołać chórem, trzy razy „Batara - guru” i zagwizdać, co? — szeptał dalej Julek.

— A jeśli to znaczy naprzykład: „boję się”?

— E, nie. Mnie się zdają że oni nas wzięli za jakiegoś swojego bożka.

— No, to krzyczmy...

I w ciemnościach nocy rozległ się potrójny, chóralny krzyk „Batara - guru”, przerywany gwizdem i błyskiem latarki.

— Batara-guru! Batara-guru! — odpowiedział żałośnie wystraszony tłum.

— No, jesteśmy uratowani! — powiedział Mietek — ale co dalej?

— No, niech nas gdzieś zaprowadzą... — zaproponował Julek i postąpił ku leżącym, ale ci natychmiast odsunęli się z przestrachem.

— Masz tobie: boją się teraz... Co tu robić?

Wtedy Mietek przystąpił do najbliższego dzikusa, złapał go za czuprynę i podniósł do góry. Potem machnął ręką w stronę, skąd przyszła naganka i powiedział po polsku:

— Prowadź!

Dziki bełkotał coś niezrozumiale, ale już w tłumie, rozległ się głos:

— Alun - alun!

— Dobrze, niech będzie „alun - alun”! — mruczał Mietek. — Tylko pędź, bo spać nam się chce.

W tłumie zapanowało poruszenie: wiązano ze sobą dzidy, przeplatano je gałęziami i w kilka chwil były gotowe cztery lektyki, które zniżono przed naszą czwórka.

Chłopcy usiedli wygodnie, nie zapomniawszy zresztą wziąć plecaków, a Mietek, który siedział w pierwszej lektyce, gwizdnął, błysnął latarką i zawołał:

— Batarą - guru! Alun - alun!

Dzicy przyjęli to radosnemi okrzykami i powtórzyli z zapałem:

— Batarą - guru! Alun - alun!

Lektyki ruszyły wśród rozpalonych na nowo pochodni, a chłopcy od czasu do czasu rzucali sobie kilka słów:

— Breloczek, nie spadłeś jeszcze? — krzyczał Mietek.

— Nie! — pisał Breloczek.

Kiedy wyszli z lasu, zobaczyli, że już się rozwidnia i w świetle wstającego słońca stanął przed nimi wspaniały krajobraz.

Na horyzoncie rysowały się wysmukłe stożki gór czy wulkanów, a bliżej rozrzuciła się bujna, wspaniała roślinność. Nie było wprost skrawka ziemi, niepokrytego ciemno-zieloną, splątaną gęstwą. Ale nie tylko podłoże było tak bogate: ze wsząd strzelały kity i pióropusze drzew o najrozmaitszym kształcie. Były tam długie, zupełnie podobne do pióra, liście palm, zwisające łagodnym półkolem, były zwarte, kędzierzawe czupryny drzew o drobniejszym liściu, a niezliczona ilość odcieni zieleności i mnogość kształtów — oszałamiała oczy.

Następnie oczy chłopców przeniosły się na ludzi, którzy ich otaczali. Byli oni nadzy, zaledwie w biodrach przepasani kawałkiem materji lub spódniczką z liści. Wzrostu byli niewielkiego, sięgali zaledwie do wysokości półtora metra. Cera ich była ciemna, kości policzkowe wystające, oczy podłużne i lekko ukośne. Zreśztą wyraz ich twarzy był dość sympatyczny.

— To chyba Chińczycy, co? — powiedział półgłosem Wacek, kręcąc się na swojej lektyce.

— Nie rozmawiajmy za dużo! — powiedział jeszcze ciszej Mietek. — Musimy zachować powagę, odpowiednią naszemu stanowisku „Batarą - gurów”.

— Dobrze, ale... przecież chcę wiedzieć u kogo jesteśmy! — niepokoił się Wacek.

— W każdym razie to nie Chińczycy — mruknął półgębkiem Julek.

— Właśnie, że Chińczycy!

— Tsss!

W tej chwili zza kępy drzew ukazały się ludzkie osiedla. Były to raczej szałas, niż domy, sklecone w dodatku byle jak i ledwie trzymające się kupy. Dokoła tego obozu czy wsi był płot, również niedbale i słabo umocowany, a w jednym jego miejscu widniał duży wyłom, zastępujący widać bramę.

W tej właśnie bramie dojrzeć można było spory tłum, który wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowa. Kiedy jednak karawana zbliżyła się, ze środka jej wystąpił jeden z dzikich, ubrany nieco bogaciej i z dziwnym kołpakiem na głowie. Zwrócił się do tłumy i powiedział kilka słów, wśród których powtarzało się ciągle „Batarą - guru”. Tłum natychmiast zamilkł i cofnął się niespokojnie.

Naraz rozległy się głosy:

— Alun - alun!

Chłopcy spojrzeli: stali przed domem większym nieco od innych, wzniesionym nad ziemią o stopę i opartym na kilku słupkach, jak szafa na nogach.

— Acha, więc to jest „alun - alun”! — powiedział Mietek. — To pewno znaczy — świątynia, albo dom narad.

— Albo więzienie! — mruknął Julek.

— Nie kracz! Nie kracz!

Lektyki zniżyły się i chłopcy zeszedli z nich na ziemię.

— Tylko pamiętajcie o powadze! — mówił Mietek. — Krok poważny, mina uroczysta...

— ...Głowa do góry, pierś naprzód, oddychać nosem — skończył Julek, nadymając się i stawiając nogi jak bocian.

Weszli do ciemnego wnętrza, nieoświetlonego żadnym oknem, a za nimi wniesiono ich plecaki i z uszanowaniem cofnęli się wszyscy.

— Wszystko to dobrze — mówił powoli Mietek. — Ale teraz musimy dobrze się zastanowić, co robić dalej. Zdaje się, że nam nic nie grozi tymczasem, ale w każdym razie musimy się stąd wydostać. Niech więc każdy powie, jaki ma projekt.

Wacek usiadł i powiedział:

— Ja myślę tak: niech nas te dzikusy karmią...

— No, naturalnie! — prychnął Julek. — O tem Wałeczek nie zapomni nigdy...

— Nie przeszkadzaj! Niech nas karmią i niech nam budują dużą łódź, a potem odwiozą do najbliższej wyspy, gdzie są biali. Jeżeli jesteśmy na archipelagu, jak mówi Mietek, to wyspy są tu blisko siebie. Dojedziemy do Cejlonu albo Sumatry, a stamtąd...

— A stamtąd — przerwał znowu Julek — przewiozą nas darmo, aż do Gdańska za piękne oczy, tak?

— No, to jeszcze każmy tym dzikusom zbierać dla nas złoto i drogie kamienie.

— Głupstwa pleciesz! — oburzył się Julek. — „Zawsze są u dzikich”!

D. c. n.

Jerzy Ostrowski

PLAN DO OPRACOWANIA MONOGRAFJI OKOLICY LUB OSIEDLA

III. ŻYCIE DANEJ OKOLICY.

1. *Życie gospodarcze:* Gospodarstwo rolne, rośliny najwięcej uprawiane, ilość tych roślin. Wydajność gleby, sposoby użytkowania, obróbka roli, prace związane ze sprzętem roślin (zbieranie, wiązanie, wożenie, przechowywanie). Gospodarstwa duże, średnie i małe, dochodowość.

Hodowla roślin włóknodajnych (len, konopie), uprawa, zbiór, przeróbka włókna na tkaniny, narzędzia i warsztaty. Wielki przemysł tkacki, fabryki.

Rośliny oleiste, buraki cukrowe, tytoń, cykorja, chmiel i inne. Przeróbka tych roślin w różnych gałęziach przemysłu spożywczego: młynarstwo, cukrownictwo, gorzelnictwo, krochmalnictwo, browarnictwo i t. d. Zakłady, fabryki, sposoby fabrykacji.

Hodowla zwierząt domowych. Wzo-

rowe gospodarstwa hodowlane i obory. Hodowla ryb. Przetwórstwo surowców hodowli: przemysł mięsny, wędliniarski, tłuszczowy, garbarski, kuśnierski, odzieżowy. Zakłady małe i fabryki.

Spółdzielnie mleczarskie, maślarskie, jajczarskie. Przeróbka i ceny.

Gospodarstwo leśne, wyrąb drzewa, zalesianie poręb. Zużytkowanie drzewa, obróbka, tartaki, przemysł stolarski, meblowy. Przemysł chemiczny oparty na drzewie (celuloza, papiernictwo).

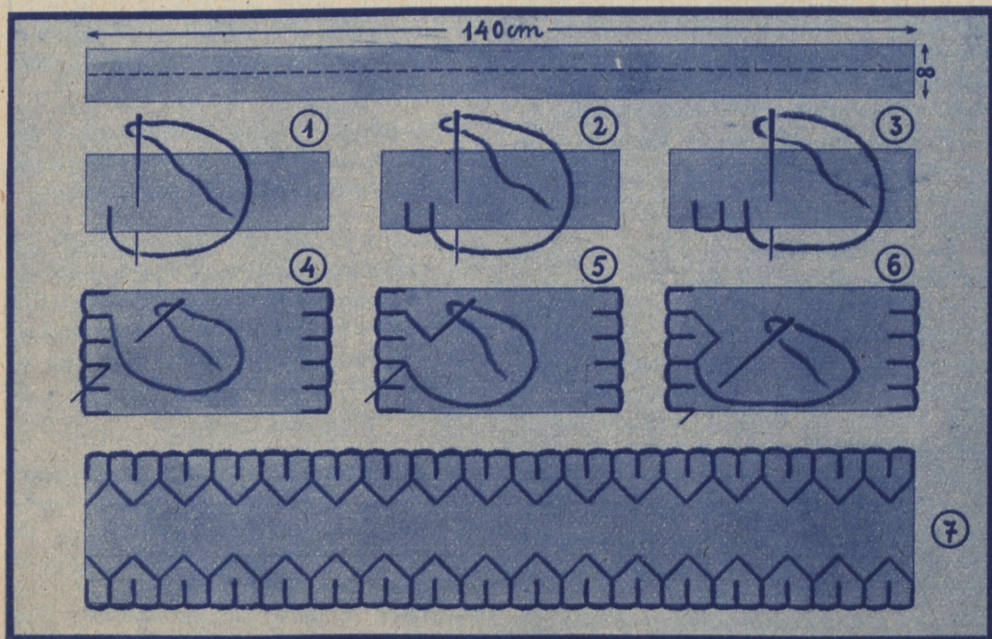
Wytwórczość mineralna, zakłady górnicze, urządzenia, narzędzia. Kamieniołomy, obróbka skał, cementownie, gipsownie, wapienniki i t. p. Zakłady przetwarzające rudy, huty, fabryki metalurgiczne, rafinerje i inne.

Co się wytwarza, ile, dokąd wywozi, warunki pracy, ilość robotników, zarobki.

D. c. n.



LNIANY KRAWAT



Podajemy opis wykonania krawata z lnu wyszytego ściegami.

Krawat taki może służyć zarówno do ubrania sportowego, jak i harcerskiego.

Podajemy tu wzór w dwu barwach, które mogą być dowolnie zmieniane i dostosowywane do koloru ubrania.

Przystępując do szycia krawata musimy wybrać płótno niezbyt miękkie, odciąć prosty kawałek szeroki na 8 centymetrów, długi na 140 centymetrów. Następnie złożyć na pół według linii kreślowanych i zszyć na dwa milimetry od brzegu na maszynie z trzech stron, zostawiając jedną poprzeczną. Dalszą funkcją będzie odwrócenie krawata na stronę prawą.

Posługujemy się tu ołówkiem, lub patykami, dla łatwiejszego odwrócenia materiału.

Następnie należy płótno wyprasować przez mokry gałganek i wykończyć w rękę bok czwarty szwem krytym, podwijając brzeg materiału do środka. Wreszcie przystępujemy do wyszywania wzoru. Do tego potrzebna nam jest igła z dużym uszkiem i nitka czarna ze lnu, lub D. M. C. Gdy te rzeczy zdobędziemy, możemy przystąpić do t. zw. dziergania. Sposób podamy na rysunku 1, 2, 3. Odstęp między ściegami — 5 milimetrów. Po wydzierganiu krawata naokoło, zmieniamy nitkę czarną na czerwoną i wyszywamy w dalszym ciągu linię łamaną, ale tylko na dwóch bokach dłuższych. Sposób wyszywania podany na rysunku 4, 5, 6.

Rysunek 7 przedstawia część krawata wyszytego.

Jadwiga Gromulska

Czy wiesz?

Najtwardszym materiałem jest diament, który jest czystym krystalicznym węglem. Nie daje się niczem zarysować a szlifuje się go proszkiem z rozbitych okruchów diamentowych. Oszlifowane diamenty posiadają piękny blask i są używane jako kamień ozdobny. Brylant jest nazwą kształtu nadawanego bardzo często diamentom przy oszlifowaniu.

W technice używa się diamentu do rżnięcia szkła, wycinania w metalach delikatnych linii i szlifowania innych kamieni szlachetnych.

Do porównywania twardości różnych materiałów używa się skali obejmującej 10 stopni a uzyskanej przez zestawienie 10 minerałów tak dobranych, że każdym następnym można zrobić rysę na jego poprzedniku. Są one następujące:

1. talk (czyli łojek, ściera się już za dotknięciem palca,
- 2) sól kamienna (daje się rysować paznokciem),
3. kalcyt (wapień krystaliczny),
4. fluoryt,
5. apatyt,
6. skałki (można go jeszcze zarysować nożem),
7. kwarc (piasek, rysuje szkło),
8. topaz,
9. korund (szlachetna odmiana pod nazwą rubinu jest cennym kamieniem szlachetnym, zanieczyszczony, pod nazwą szmirglu, służy jako materiał szlifierski),
10. diament.

Nieco większą twardość od korundu ma karborund, jest to krystaliczny związek krzemu i węgla. Otrzymuje się sztucznie przez stopienie w piecu elektrycznym koks i piasku (w obecności soli kuchennej, ułatwiającej stopienie). Służy jako materiał szlifierski, w postaci proszku lub krążków i osełek.

Uzyskano przez stosowanie różnych domieszek bardzo twardą stal prawie dorównującą twardości diamentu. Brzytwa zrobiona z takiej stali mogłaby służyć bez ostrzenia przez kilka pokoleń. Niestety stal taka jest bardzo droga i bardzo krucha.

Włochy są punktem zbornym dla wielu gatunków przelotnych ptaków,

udających się na zimę z Europy do Afryki. Zmęczone przelotem nad Alpami ptaki są łatwym łupem dla Włochów, łowiących je masowo. We Włoszech ginie rocznie około 250 milionów różnych drobnych ptaków, zjadanych przez Włochów dla zaspokojenia smakowych przyjemności.

Mustangi, obecne amerykańskie dzikie konie, pochodzą od koni swojskich, przywiezionych przez Europejczyków.

Morza zajmują 73% ogólnej powierzchni kuli ziemskiej. Gdybyśmy czyścili sól, rozpuszczoną w wodzie morskiej zbili w jedną bryłę, byłaby ona większa niż cały ląd stały z górami. Żadnego innego minerału ziemia nie posiada w takiej obfitości.

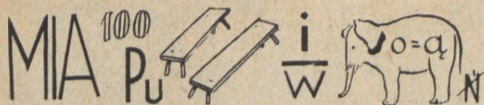
Praktyczni Amerykanie w okolicach specjalnie obfitujących w komary budują specjalne wieże dla nietoperzy. Za bezpieczne schronienie odwdzięczają się nietoperze podwójnie, bo usuwają plagę komarów i przebywając przez długi przeciąg czasu w swych pomieszczeniach, a więc w tych wieżach, składają tam pokaźne ilości nawozu, który, jak wykazały doświadczenia, jest bardzo cenny w ogrodnictwie i przez amerykańskich ogrodników kupowany za drogie pieniądze.

Siła ciężenia jest proporcjonalna do masy ciała. Ponieważ księżyc ma masę 81 razy mniejszą od masy ziemi, więc i przyciąganie jego jest o tyle mniejsze. Gdybyśmy byli na księżycu i zachowali siłę naszych mięśni, moglibyśmy skakać lepiej od zajęcy.

Najnowsze teleskopy astronomiczne mają taką zdolność powiększania obrazu, że gdyby na powierzchni księżycy znajdował się dom średniej wielkości, to byłby już widoczny.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



ZAGADKA 1.

Przez dużą literę napisany
lubelskie przepływa ziemię.
Przez małą literę napisany
w chlewiku sobie drzemie.

ZAGADKA 2.

Jeśli mu kto chce
odjąć sprzodu „c” —
wtedy zamiast miasta
o wyniosłych wieżach
otrzyma część zbroi
dawnego rycerza.

ZAGADKA 3.

Obaj się piszą inaczej,
a jeden po drugim płynie.
Jednego porzną trące,
a drugi w Wiśle zginie.

ZAGADKA 4.

W jakim to mieście
ryba się mieści?

SZARADA

Pierwsza — pułku połowa.
Druga — (dwusylabowa) —
to większe, czy też mniejsze,
sprzęty najpotrzebniejsze.
Całość — wiadoma światu
stolica powiatu.

ZADANIE

Zygmunt i Janek grali w stalówki.
W pierwszej partii Janek wygrał tyle
stalówek, ile miał przed grą. W dru-
giej partii wygrał Zygmunt tyle sta-
lówek, ile miał po przegranej. Zagrani
jeszcze jedną partję i Zygmunt prze-
grał wszystkie stalówki, a Janek po-
dwoił sobie liczbę stalówek: miał 16.
Ile stalówek miał każdy z nich na
początku?

JAK ROZMIEŚCIŁ?

Pewien gospodarz wymłócił zboże,
wspął do worków i schował do sąsie-
ków w stodole i na strychu chaty.

Gdybyście przesunęli z pierwszego
sąsiek do drugiego i na strych tyle
worków, ile ich było w tych miejscach,
a potem zrobili tak samo z workami
w drugim sąsieku, a potem z workami
na strychu, to otrzymalibyście w każ-
dem miejscu po 24 worki zboża.

Zgadnijcie, po ile worków było po-
czątkowo w każdym miejscu?

ROZWIĄZANIA Z Nr. 11.

Rebus: jedenasty listopada. Zagad-
ka 1 — pancernik; 2 — szabla; 3 —
kula. Szarada: biesiada. Zagadka 4 —
siodło. Zadanie: 113 ludzi, w tem 1
oficer z szablą, 112 ułanów z szablami
i karabinami — wszyscy na konia-
ch. Szarada 2 — armata.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIĄŻEK
Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI

